

Adam Podlewski\*

## Próba wody

### 1. Nieznany Wróg

— Jezus Maria Wszyscy Święci! — zawył Samwell. Starszy specjalista był niewierzącym, wychowanym w mocno antykatolickiej rodzinie zielonoświątkowców. — Kontakt! Trzysta stopni, odległość...

Nie musiał mówić, jaka odległość. Zbyt mała. Jeśli załoga USS „Colorado” usłyszała odbicie własnego sonaru jako wyraźny ping za burtą, ich ogon prześlizgiwał się właśnie na samobójczym dystansie. Marynarka amerykańska od rozpoczęcia zimnej wojny oficjalnie straciła dwa, a nieoficjalnie trzy atomowe okręty podwodne. Wyniki śledztwa nie zostały nigdy ujawnione, ale starzy podwodniacy podejrzewali, że w dwóch z tych trzech przypadków, przyczyną była kolizja z sowiecką jednostką. Jeśli Jezus Chrystus i Panienska Przenajświętsza nie pilnowali USS „Colorado”, załoga raketowca mogła się szybko przekonać, jak wygląda podwodne zderzenie. *„Tylko czy przeżyjemy dość długo, aby komukolwiek o tym zameldować?”*, zapytał w myślach porucznik Kenzi.

— Ile? — krzyknął do sonarzysty.

— Nie wiem... Teraz...

Iwan przeszedł tuż nad nimi, może bliżej niż pięćdziesiąt metrów. Nie uderzyli, ale horror w głębinach wcale się nie kończył, a wręcz przeciwnie. Byli absolutnie ślepi. Wywołana przez napędy obu jednostek wodna burza wyłączyła z akcji sonary pasywne. Alarmy

\* Adam „WTFApoc” Podlewski — urodzony w 1983 r. historyk, filozof, gawędziarz konwentowy; współzałożyciel Warszawskiego Towarzystwa Fantastycznego "Wykrot"; od 2014 r. redaktor działu literackiego „Creatio Fantastica”.

zbliżeniowe wyły, nie dostarczając żadnych informacji, jedynie pchając załogę na skraj paniki. Powinni użyć aktywnego sonaru z kopuły dziobowej, ale jeśli ruszą w złą stronę...

Iwan był niemal na pewno mniejszy od amerykańskiego raketowca typu Ohio i w przypadku kolizji pojazd NATO poniósłby mniejsze uszkodzenia. Ale „mniejsze” nie oznaczało jeszcze „tak małe, że mimo nich zdoła się wynurzyć”.

— Kurs!?! — jęczał porucznik Trevot, kurczowo trzymając ster.

— Trzymać kurs! — jednocześnie odpowiedzieli Kenzi i kapitan Fitzroy. Pierwszy oficer dodał też rozkaz: — Samwell, namiar!

— Nie wiem! — odparł specjalista. — Jesteśmy w czarnej du...

Instrukcje szkoleniowe US Navy nazywały stan niesprawności sensorów, spowodowany nadmiarem dźwięków, „Czarną Dziurą”. Samwell, zgodnie ze zwyczajem na „Colorado”, mówił „czarna dupa” i to określenie dobrze oddawało obecną sytuację.

— Synu, daj mi namiar, bo będziemy skręcać na ślepo... — powiedział kapitan z udawanym spokojem. Groźba poskutkowała.

— Sir... chyba... trzysta trzydzieści, odchodzi w dół...

— Lewo na burt, dziób plus dziesięć! — krzyknął Fitzroy.

— Alarm! — Kenzi jednocześnie chwycił za mikrofon i nadał rozkaz do innych działów. — Trzymać się, manewry bojowe!

Mostek zalał potok czerwonego światła. Gdy alarm już wył, wielkie „Ohio” rozpoczęło drugi skręt. Nie musieli bawić się w uprzejmości ani dyskrecję. Rusek wiedział, gdzie byli, przed chwilą wykonali zwrot zwiadowczy, a na dodatek wrogi okręt niemal na pewno był ogłuszony tą samą burzą zakłóceń. Trwający na mostku oficerowie i marynarze podjęli heroiczny wysiłek utrzymania się na nogach. Większości się udało — ciężkie „Ohio” skręcało powoli i dostojnie. Pech chciał, że akurat kapitan Fitzroy popełnił ten szkolny błąd i wychylił się za katedrę sterowniczą na jednej nodze. Kenzi kątem oka zobaczył, jak jego dowódca pada, uderza głową o podłogę i nieruchomieje.

— Przejmuję mostek! — krzyknął porucznik. — Trevot, utrzymuj wynurzenie i obróć nas. Szalonego Iwana!

— Co proszę?!

— Obróć nas, by Samwell mógł ich spingować aktywnym!

Manewru niespodziewanego obrotu zwiadowczego (zwanego przez załogi NATO „Szalonym Iwanem”) dokonywali głównie Rosjanie. Ale i zazwyczaj to rosyjskie okręty rakietowe śledziła flota amerykańska. Skoro sytuacja się odwróciła, dość oczywistym był fakt, że „Ohio” zachowa się jak ślepy Typhoon, szukając wroga. „Tak nie powinno być...”, myślał zdumiony Kenzi. „Ruscy nie śledzą naszych... A nawet jeśli, to ich wykrywamy!”

— Samwell, mów do mnie... Gdzie on jest!?

— Sir... nie wiem, na pasywnym mam kaszę... — gorączkowo tłumaczył sonarzysta. — Jeszcze pół obrotu i uruchomię dziobowy...

— Szybciej! — rozkazał Kenzi. — I ty, Trevot. Obracaj nas sprawniej.

— Sir...

— Sir? — niemal jęknął któryś z marynarzy. — Kapitan żyje, ale...

— Weź go do ambulatorium! A ty... Samwell, co...

— Uruchamiam aktywny za trzy... dwa... jeden... — Nim specjalista skończył odliczać, okrętem wstrząsnęła mdła fala dźwiękowa. Ledwie sekundę później usłyszeli głębokie tąpnięcie, a potem nową falę alarmów zbliżeniowych. Nie musieli słyszeć Jake'a Samwella, by wiedzieć, co to oznaczało: nie powinni byli kołować lewo na burt. Rosjanie wybrali najgorszy z możliwych kursów.

— Impakt! — zdążył jeszcze krzyknąć Kenzi, a potem usłyszeli to samo, co tuż przed śmiercią załoga USS „Scorpion” i USS „Talon”: upiorną pieśń dwóch trących o siebie kadłubów.

Czerwień zgasła na długie sekundy. W ciemności mostka Kenzi słyszał jęk górnej części poszycia, potem świst wdzierającej się do środka wody. Zdążył jeszcze pomyśleć, że to chyba najgorsze miejsce do tonięcia, bo znajdowali się już na szelfie kontynentalnym, mniej niż dwieście mil od Labradoru. Jeśli mieli iść na dno, jakaś sekcja kadłuba wytrzyma ciśnienie sześciuset stóp wody, a uwięziona załoga...

Odepchnął makabryczne myśli i pozwolił, aby zadziały wpojone w Norfolk odruchy. Pociągnął czerwoną dźwignię, dając tym samym rozkaz do zamknięcia wszystkich grodzi. „Zabijam naszych na dziobie...”, pomyślał, ale działał dalej. Podbiegł do Trevota, wyrwał mu z dłoni ster i wyrównał ustawienie. Położył lewą rękę na kontroli śruby.

– Raport uszkodzeń! – krzyknął i w tym samym momencie zadziałało zasilanie awaryjne.

Podtrzymani na duchu zarówno sprawnością maszyn, jak i oficera, załoganci uruchomili własne instynkty. Nieprzytomni zostali sprawnie odsunięci na bok, Pillard zerwał plomby z szafki z aparatami tlenowymi, a Trevot chwycił za słuchawkę pokładowego telefonu.

– Dział torpedowy, meldować!

– Sir... dziób zalany... – krzyknął ktoś.

– Cisza! – krzyknął Kenzi. Umilkli wszyscy.

W tym nienaturalnym spokoju dochodził do nich tylko bulgot zalewającej torpedownię wody. Porucznik mógłby przysiąc, że słyszy też rozpaczliwe uderzenia o odciętą gródź. Ale nie to było najbardziej upiornym dźwiękiem. Bo Kenzi słyszał prawdziwy płacz – jeszcze niepewny, ale rosnący jęk kruszonego kadłuba. USS „Colorado” straciło przedziały dziobowe, ale zachowało spoistość konstrukcyjną. Na razie.

– Awaryjne wynurzenie! – rozkazał Kenzi. – Balast na zero, dziób dwadzieścia górą, cała na przód! Niech Bóg... – „...ma nas w swojej opiece”, chciał dodać, ale nikt go nie usłyszał.

Zawory balastowe zaryczały jak dzikie bestie. Setki, tysiące litrów wody ruszyły wąskimi ujściami, ku swobodzie morza. Do tego koncertu zaraz dołączył gwizd awaryjnie opróżnianych zbiorników powietrznych. Okręt ruszył do przodu. Przerażona wachta siłowni spełniła swój obowiązek i ciężkie „Colorado” rozpoczęło błyskawiczną wędrówkę w górę. Niezależnie od nowych sił wyporu, dziób podniósł się kilkanaście stopni, a kierowany statecznikami sterowymi ciąg okrętu pchał go ku światłu. „Boże... szybciej!”, modlił się Kenzi.

Mieli mniej niż minutę na obranie kursu awaryjnego wynurzenia. Przedział sonarowy był zalany, torpedownia tonęła, zapewne i magazyny nabierały wody. Dziób był coraz cięższy, a wygięte maksymalnie w górę stateczniki z trudem utrzymywały wektor wynurzenia. „Colorado” trzeszczał, w każdej sekundzie groził rozpadem, ale Kenzi wiedział swoje: wypłyną lub zginą.

Porucznik ledwo pamiętał dotarcie do powierzchni. Okręt wyskoczył z morza jak szalony wieloryb. Podniósł zgruchotany dziób na dobre dwadzieścia metrów, po czym upuścił go z całą siłą w wodę. Z punktu widzenia Kenziego i innych załogantów była to tylko seria piekielnych uderzeń i powrót ciemności, gdy padły lampy na mostku. Porucznik też upadł; uderzył o coś głową, i dopiero paniczne pytania Trevota upewniły go, że żyje.

— Straty...

— Sir... John! Właśnie otwierają torpedownię. — Porucznik wstał, przyłożył ucho do telefonu, po czym krzyknął na fali euforii: — Pięciu żywych na dziobie...

„Czyli straciliśmy pewnie ośmiu”, pomyślał Kenzi. Potem zdał sobie sprawę, że jak na pęknięcie kadłuba jest to wynik świadczący o cudzie.

— Peter, trzymamy się?

— Tak, John, „Colorado” jest pławne. Sonar stracony, torpedownia uszczelniona, woda w magazynach była z przodu...

— Kapitan?

— Nie wiem, ale żył przecież...

Kenzi dał się wynieść po drabinie na pokład kiosku. Chciał odetchnąć świeżym powietrzem, ale od razu poczuł uderzenie słabości. Opadł na sztormreling i wymiotował. Gwałtownie. Dobrą minutę później poczuł na ramieniu dłoń Petera Trevota.

— Już dobrze, John. Jesteśmy na powierzchni... Uratowałeś nas wszystkich.

— A Iwany?

— Nie wiem. Straciliśmy sonar, a Samwell jest nieprzytomny.

— Lepiej dla nich, gdyby kadłub pękł — dodał Kenzi, wyobrażając sobie horror na dnie szelfu.

\*\*\*

— Ty zasrańcu! Zabiję cię, kretynie!

Starszy miczman Komarow metodycznie uderzał twarz kapitana Jakorowa. Dowódcę K-411 trzymało dwóch marynarzy, bił tylko podoficer. Reszta załogi była martwa lub jakby martwa — obojętna na ten bunt przeciw dowódcy okrętu. Zatopionego okrętu, dodajmy.

Porucznik Leszko odzyskiwał przytomność stopniowo. Szybko pojął, że upadek i uderzenie w głowę pozbawiło go przytomności. Dlatego nadal leżał, płytko oddychając i usiłując zrekonstruować ostatnie wydarzenia. Śledzili Jankesów na „Ohio”. Skradali się w ich śladzie i martwej strefie czujników. Wszystko szło dobrze, bardzo dobrze, patrol dotarł za nieświadomym przewodnikiem niemal do Labradoru. Ale potem Amerykaniec odwrócił się, tak po prostu, niczym ci najbardziej szaleni kapitanowie sowieckich rakietowców. Gdyby to porucznik dzierżył ster, wyminąłby „Ohio” bez trudu, może nawet nie dając się wykryć. Ale gdyby Leszko dowodził na mostku, nie rozpoczęłby samobójczego tańca wokół ofiary; kazałby przypaść do dna i pingować aktywnym sonarem do skutku. Amerykanie wykryliby ich od razu i o to chodziło – gdyby oba okręty znały swoje pozycje, nie doszłoby do katastrofy.

„Wszyscy zginiemy!”, pomyślał i widok miczmana oraz dwóch marynarzy katujących dowódcę jednostki nie wydał mu się taki dziwaczny. Stary zabił ich wszystkich, to nie ulegało wątpliwości. „Czy mnie też zamordują?”, zastanawiał się. „Jest nas na oko dwudziestu, odcięliśmy się na mostku... Dla wszystkich powietrza starczy na, najdalej!, dwanaście godzin. A jak kogoś ubiją...”

Z przerażającą jasnością widział sytuację załogi. K-411 był chlubą sowieckiej marynarki. Okręt specjalny, zbudowany na planach typu 971, zabierał na pokład najwspanialsze zdobycze komunistycznej elektroniki i hydroakustyki. Ich misja była prosta: słuchać. Czaić się za imperialistycznymi jednostkami, śledzić ich ruchy, zdobywać dane o wydajności ich sensorów. Oczywiście nie dając się wykryć. Kapitan drugiej klasy, Danił Jakorow, bardzo ściśle trzymał się tych wytycznych, przez co właśnie umierali na szelfie. Gdy „Ohio” zrobiło nagły zwrot, Jakorow wyminął Jankesa z trudem, a potem, zamiast dać się zlokalizować wolnemu przeciwnikowi, rozkazał przeprowadzić własną pętlę zwiadowczą. Co gorsza, kazał jednocześnie opróżniać balasty dziobowe, przez co K-411 dryfował w pozycji tyleż komicznej, co tragicznie wrażliwej. Uderzenie w krążące „Ohio” niemal odcięło dwa przednie działy okrętu, od razu zabijając dziesiątkę pełniących służbę marynarzy. Ale piątka techników zamknęła gródź reaktora, a miczman Komarow zdążył zatrzasnąć właz na dziób tuż przed uderzeniem fali zimnej wody. Sprawność podoficera na nic się jednak nie zdała. Choć technicy robili, co mogli, nie wygrali z grawitacją. Na wrzuconym w rozpacz wstecznym

ciągu K-411 został wciągnięty dziobem w kierunku dna i osiadł na szelfie. Do tego momentu wszyscy żywi załoganci pojęli, że są już martwi.

Leszko stracił przytomność po uderzeniu w dno. Przewrócił się i padł na twarde płyty podłogi, a nikt ze skazanej na męczarnie załogi nie przejmował się rannym oficerem. Porucznik z trudem podniósł się na kolana, nie wiedząc, co z sobą począć. Śmierć od twardej pięści marynarzy wydawała się bardzo kuszącą perspektywą wobec kilkugodzinnej agonii w zatrutym kadłubie Szczuki. „Ale nie trzeba umierać!”, pomyślał Leszko. A potem w jego głowie odezwał się głos, jakby inny, odległy, bardzo cudzy. „Tu jest płytko, imperialiści będą chcieli sprawdzić wrak. Jeśli tylko ja będę oddychał, mam wiele dni...” Wiedział już, co robić.

— Bacność, marynarze! — krzyknął.

Odpowiedziała mu fala obojętności. Tylko siedmiu załogantów wyprężyło się w postawie zasadniczej. Pozostali leżeli na pokładzie lub uskuteczniali karany zwykle śmiercią bunt. Wreszcie Komarow przestał katować kapitana i skierował wzrok na porucznika.

— A ty co, skurwielu? Z tobą też...

— Iwan, Pieta, Marek... obezwładnijcie tego buntownika — rozkazał Leszko.

Była to najdziwniejsza walka, jaką widziała sowiecka marynarka. Wszystkich siedmiu lojalnych załogantów rzuciło się na Komarowa. Dwóch marynarzy bijących Jakorowa, a także dwóch następnych, wstało i podjęło walkę z lojalistami. Ale dziesięciu pozostałych załogantów nawet nie raczyło spojrzeć na bitkę przy sterze. Rosjanie modlili się, przeklinali, leżeli jak sparaliżowani na pokładzie. To nie miało sensu, prawda? Byli martwi.

Dzięki bierności załogi, siedmiu ludzi Leszka rozbroiło buntowników bez poważnych strat. Tylko Iwan Nikita krwawił niegroźnie ze złamanego nosa, a Pieta Szelowski masował wykręconą rękę. Za to Komarow wykrwawiał się na śmierć, a jego kompanów wierni marynarze krępowali taśmą izolacyjną. Leszko stał nad nimi, trzymając pistolet Makarowa.

— To bunt! — szeptał. — I zachowanie niegodne ludzi radzieckich! Na tym okręcie obowiązuje dowództwo naszej floty, a marynarze niepodporządkowujący się rozkazom to zdrajcy. — Leszko teatralnie spojrział na dziesiątkę obojętnych załogantów.

— Marek, ich też skrępuj.

— Ale towarzyszu...

— Są współnikami sabotażu.

I tak zdolni do działania lojaliści zaczęli kleić ręce kamratom. Co najdziwniejsze, nikt się przeciw temu nie buntował („Dobra nasza...”), zniechęcony wizją rychłej śmierci – od uduszenia – bądź jeszcze rychlejszej – od kuli. I po chwili czternastu sowieckich marynarzy leżało wokół pulpitu sterowniczego z rękoma skrępowanymi techniczną taśmą. Niepewna siódemka wiernych załogantów spoglądała na porucznika. Czy Leszko miał pomysł na ratunek? Było to niemożliwe, ale skoro oficer rozkazywał, miał w tym jakiś cel. Chyba.

– Tylko siedmiu – powiedział porucznik.

– Tak, towarzyszu – odparł Iwan. – Ten bunt...

Ale zamilkł, widząc, że jego dowódca i domniemany zbawca celuje z pistoletu. Leszko nie mógł pokonać całej załogi; nie miał w magazynku dwudziestu dwóch kul. Miał siedem.

## **2. Groza z głębin**

Porucznik James Herzog czuł się bardzo niekomfortowo w towarzystwie nowej załogi. „Atlantyckie Taxi”, jego wspaniałe DSRV-3, było wykorzystywane zdecydowanie wbrew pierwotnemu przeznaczeniu. James otrzymał niemal wszystkie informacje o zderzeniu „Colorado” z tajemniczym okrętem sowieckim. Siadł do map dna, policzył przypuszczalne parametry Iwana, po czym zmówił modlitwę za biednych drani. Szanse na uratowanie kogoś z każdą minutą zbliżały się i przytulały do zera. A nim Pojazd Ratunku Głębinowego klasy Mystic znalazł się na miejscu, upłynęły niemal dwie doby. Czerwoni, jeśli przeżyli kolizję, umarli pod wodą. Tymczasem jego towarzyszom nie chodziło o spełnienie marynarskiego obowiązku. Nawet mat Bronson (nie lubił buca), choć z grupy ratunkowej, był przejęty akcją jak filmem szpiegowskim. Dwóch dupków z CIA przypominało hieny czekające na świeże truchło. O tak, znajdą trumnę, co najwyżej z ciałami na pokładzie. Herzog pocieszał się słodko-gorzką myślą, że jeśli na Iwanie nikt nie przeżył, Garniaki przynajmniej nie wejdą na pokład. Aby dostać się do wraku z resztkami elektroniki, sowiecki okręt trzeba będzie podnieść. Wtedy dadzą Ruskim godny pogrzeb. „Wróg to wróg...”, myślał James, który odsłużył trzy lata na starym Lafayette, USS „Andrew Jackson”. „Ale jeśli ci biedni wariaci zdołali się zapuścić za naszym „Colorado” niemal pod Labrador, należą się im honory jako sprytnym skurczybykom.” Spojrzał w bok, na siedzącego przy włązie Harrisona. „A, no... Jest



jeszcze doktorek. Pewnie nie ma nic złego na myśli, ale jak na podobną tragedię, wygląda na strasznie podnieconego.”

– Ile to potrwa, poruczniku? – zapytał Harrison.

– Nie wiem, doktorze – odparł oficer. – Znamy jedynie przybliżone namiary na Iwana. Na „Colorado” siadła niemal cała elektronika, liczyli kurs Ruskich suwakami logarytmicznymi. Poza tym nie wiemy, co się stało. Jeśli tym biedakom pękł kadłub, zamiast eleganckiego toru skosem mogli nagle klapnąć na dno.

– Te informacje nie są niezbędne doktorowi – powiedział agent CIA o szczęce boksera.

– A co, zdradzi tajemnicę wojskową tuńczykom? – prychnął Herzog.

– Sir! Mamy go! – Bronson klepnął w ekran, przerywając rodzącą się pyskówkę. – Tutaj, za załomem. Leżą na dnie, raczej włazem do góry. Chyba da się zrobić...

– Podniesienie takiego... – zaczął bokser.

– Mówiłem o próbie wejścia na pokład. Może ktoś przeżył – przerwał mu zimno Bronson.

James zrozumiał, że źle ocenił towarzysza. Ciemnoskóry mat był marynarzem w każdym calu, nic więc dziwnego, że robił wszystko, by spełnić najstarszy obowiązek ludzi morza. Dowódca odruchowo poklepał podoficera po ramieniu.

– Dobra robota. Daj ich na ekran.

Bronson włączył długie reflektory, acz z tej odległości nie sięgały one piaszczystego dna. Szukali jeszcze pięć minut, nim szara macka przytłumionego światła dotknęła metalicznego zewłoku. James skrzywił się w duchu – Iwan był mocno zgnieciony. Tylko część centralna z kioskiem wyglądała, jakby mogła kogoś ocalić.

– Mamy ją, Mark! – szepnął drugi, dotychczas milczący agent.

– Wygląda jak Akula, typ 971, zwą ją „Szcuka”. Ale jest większa, jakby spuchnięta... – zauważył podoficer. – To jakiś nowy rodzaj, modyfikacja z kopułami na burtowe sonary. Cholerny szpieg... Ale ratować trzeba – dodał natychmiast. – Sir, sonarem?

Herzog skinął głową, a mat uruchomił aktywny ping. Pisk impulsu obudziłby każdego żywego. Załoga DSRV-3 zastygła w nerwowym oczekiwaniu, Bronson przycisnął słuchawkę bliżej do ucha. Chwila ta trwała nieskończoność, aż wreszcie...

– Sir! Odpowiada! Ktoś stuka w kadłub!

– Panie doktorze, proszę przygotować się na przyjęcie pacjentów – powiedział poważnie Herzog. – Podchodzimy. Panowie... – Spojrzał na agentów. – To jest operacja marynarki i to ja jestem odpowiedzialny za jeńców. Czy to jasne? – Mark-bokser pokiwał głową, drugi nie zareagował. James westchnął.

Podchodzili powoli, ostrożnie, gdyż nawet lekkie uderzenie w zmęczony kadłub mogło być wyrokiem śmierci dla ocalałych cudem Rosjan. Dlatego wyhamowali całkowicie, Bronson ustawił napęd główny na korektę dennego prądu, a ster manewrowy przejął Herzog. Posuwali się skokami, pod koniec ledwo metrowymi. Agenci i lekarz zastygli w nerwowym oczekiwaniu, Bronson podziwiał kunszt dowódcy. Bo James znał się na robocie. Wiedział, że ma tylko jedną szansę na zaczep. Choć załadowany Mystic ważył ledwie czterdzieści ton, takie uderzenie mogło przeciążyć kadłub wraku. Dlatego Herzog chciał złapać właz Iwana magnetycznym kołnierzem już przy pierwszej próbie. Zacisnął zęby i...

– Udało się! – szepnął Bronson. – Skip, kołnierz trzyma!

– Teraz zapukamy. To oni muszą nam otworzyć.

– Co? – zdumiał się Harrison. – Ci ludzie pewnie są w szoku, osłabieni i podduszeni. Może to my przetniemy właz? Macie jakiś palnik...

– Nie ma takiego palnika który poradziłyby sobie z kadłubem ruskiej Akuli – zauważył Bronson. – A przynajmniej nie w czasie, jaki mamy do dyspozycji.

– Doktorze, nie możemy przepalić włazu – dodał Herzog. – A co będzie, jeśli przeżyła cała załoga? Ich jest czterdziestu, może nawet pięćdziesięciu. Musimy założyć potrzebę drugiego rzutu.

– Ta informacja nie jest niezbędna doktorowi... – zaczął Bokser. – Ale porucznik ma rację. Przepalenie włazu traktujemy jako ostateczność.

– Sir, otwierają...

– Bronson, zostajesz na gospodarstwie. Reszta wchodzi ze mną – polecił porucznik James Herzog.

Wstali i ruszyli do włazu. James poczuł dziwaczne mrowienie w karku, a to uczucie nie miało nic wspólnego z chłodem oceanicznego dna. W zatopionej Akuli tkwiło coś złego, mrocznego, zimniejszego niż wszystkie głębiny północnego Atlantyku. Zauważył, że innych

też kłuje strach. Obaj agenci CIA odbezpieczyli wyciszone colty, a doktor Harrison ścisnął poręczną butlę tlenu lekarskiego niczym maczugę. Jednak to Herzog musiał zrobić pierwszy krok.

– Ahoj! Kto-nibud? – zaczął, włączając latarkę. Potem jednak zauważył pierwszy z kształtów na podłodze. – Jezu... – szepnął. –Doktorze!

Agenci uruchomili swoje latarki i przybrali osłonne pozy strzeleckie. Subpokład awaryjny przy włączaniu obejmował niewielkie pomieszczenie o wymiarach trzy na pięć metrów. W ścianach tkwiły uchwyty, na nich wisiały miękkie kombinezony do nurkowania. Butli z tlenem, oczywiście, brakowało. Za to ciało młodego marynarza, z głową ozdobioną czerwonym kwiatem, zdawało się krzyżeć. „Oni walczyli o tlen!”, pomyślał James.

– Nie żyje – powiedział Harrison. – Pojedynczy strzał w tył głowy, śmierć była natychmiastowa. Zgon nastąpił kilkanaście godzin temu...

– Co to za skurwiel... – szepnął Bokser, nerwowo celując w drzwi na mostek. James po raz pierwszy ucieszył się, że pilnuje go dwóch kowbojów z Agencji.

– Herzog! Ktoś otworzył nam ten właz! – zauważył drugi agent. – Gdzie są rozbitkowie?

– Znacie plany Akuli lepiej ode mnie, panowie. Szukajcie, a znajdziecie...

– Cisza! – syknął niższy z agentów. – Jeśli ten Rusek kropnął swojego, nas też może.

– To bez sensu... My im chcemy pomóc... – jęknął Harrison.

– Spokój, panowie! – James zmusił się do opanowanego tonu. – Tu stało się coś złego, ale na pewno ktoś przeżył. Rozbitek może być w szoku. Panie doktorze?

– To nawet prawdopodobne. Świadomość nieuchronnej śmierci może skruszyć nawet najspokojniejszy umysł, a niedotlenienie sprzyja halucynacjom.

– Coś się nie zgadza... – zauważył Bokser. – Nie zauważyliście, że powietrze jest tutaj bardzo świeże, jakby nikt nie zużywał tlenu?

James wręcz podbiegł do grodziowych drzwi i wbrew protestom agentów otworzył je. Metal skrzypiał, ale nie opierał się zbyt mocno. Przejście na mostek stało otworem i Herzog już chciał ruszyć w ciemność, gdy powstrzymał go drugi Kowboj. Położył palec na ustach, odepchnął porucznika i sam wskoczył do środka. W świetle latarki Boksera obserwowali, jak agent sprawnie wbiega po schodach na poziom kiosku, zapala własną latarkę i...

Wrzask agenta specjalnego Barta McIntiera był głośniejszy od wiązki aktywnego sonaru. Nawet Mark Berloc zastygł w miejscu na długie sekundy, nim ruszył z miejsca i podążył za towarzyszem. Do tego czasu McIntier zdołał już opanować nerwy. Macał ciemności mostka promieniem latarki i wodził wokół lufą colta.

— Kurwa, kurwa, kurwa... — jęczał. — Co to jest... Mark...

— To jest... załoga okrętu — powiedział James. Szybko zdał sobie sprawę, że nie odkrył niczego nowego.

Ciała zalegały w całym pomieszczeniu. Było ich ponad dwadzieścia, ale już na pierwszy rzut oka można było rozpoznać trzy grupy. Trzej marynarze padli tam, gdzie stali, trafieni pojedynczymi strzałami oddanymi z zabójczą precyzją. James nie mógł odpędzić od siebie natrętnej myśli: jeśli zabił ich jeden strzelec, musiał celować w niemal idealnym mroku z odległości ponad dziesięciu metrów. Dla mistrza olimpijskiego w strzelectwie byłby to wyczyn.

Drugą grupę ofiar stanowili „wojownicy”. Porucznik nie wiedział, dlaczego ich tak nazwał, ale wyczuwał w powietrzu aurę oporu. Oni biegli ku strzelcowi, widocznie chcąc wytrącić mu broń. Ale zabójca położył ich wszystkich. Strzały były szybkie, niechlujne, oddane w ostatnich sekundach. Jeden dostał w brzuch, drugi w udo. Napastnik musiał dwie ofiary dobić uderzeniem klucza francuskiego. Natomiast trzecia grupa...

— Rany boskie... To była egzekucja — szepnął McIntier.

— Mów do mnie, Bart! — powiedział nerwowym tonem Berloc, celując w korytarz ku rufie. — Ilu napastników? Jaka broń?

— Chyba... jeden. — Doktor Harrison też oglądał ciała. — Czternastu biedaków z ranami ciętymi, poderżnięte gardła lub nadgarstki. Wszyscy byli skrupowani... To chyba taśma izolacyjna.

— Skurwiel rozkazał tym siedmiu, aby unieszkodliwili resztę, a sam... — domyślił się McIntier. — Tylko dlaczego?

— Wiedział, że przyplniemy zbadać okręt — zauważył James. — Cenna elektronika, dane wywiadowcze. Ale nie miał pojęcia kiedy. Zabił ich, żeby nie marnowali powietrza. Jego powietrza.

– Jak go dorwiemy, to... – Bart zawiesił głos, a James po raz pierwszy uwierzył, że pod maską cynicznego agenta kryje się prawdziwy człowiek. W owej chwili był to wściekły człowiek. – Ja bym go tu zostawił!

– Widzę jakieś bazgroły. Krwią – powiedział lekarz. – Poruczniku, światło proszę... Czy to pentagram?

– Ja pier... – szepnął ktoś.

– Agencie Berloc – powiedział niepewnym tonem Herzog. – Proponuję wycofać się do naszej łodzi, postawić wartę przed włazem. Jeśli ten szaleniec zabił własną załogę, Bronson...

Nie skończył mówić, kiedy usłyszeli jęk otwieranego włazu. Agenci od razu skoczyli ku schodom do magazynu. James zdążył podnieść z podłogi zakrwawiony klucz francuski i ruszył za nimi. Lekarz opadł się o burtę, drżąc jak w gorączce. A McIntier poślizgnął się w kałuży krwi i upadł na pokład. Berloc wyminął go zręcznie, wbiegł po schodach, wpadł do komory ciśnieniowej i tym razem to on wrzasnął.

James dotarł tam minutę później, kurczowo ściskając klucz. Było jednak już za późno. Porucznik wyminął leżącego przy drzwiach nieprzytomnego Bronsona, po czym podszedł do włazu. Z drugiej strony słychać jeszcze było dźwięk odczepianego kołnierza i uruchamianych silników Mystica. Agent Berloc uderzał pięściami w burtę, gdyż nic innego mu nie pozostało.

Zostali sami, dwieście osiem metrów pod poziomem morza.

### **3. Apokalipsa**

– Skipper, co robimy? – zapytał oficer łączności, Wharton.

– Co ja jestem, wróżka? – odparł Miller. – Szukaj Herzoga sonarem. Gdyby coś im się stało, zauważylibyśmy na czujnikach. Ale nie denerwuj się. Herzog ma tlenu na ponad dobę.

– Jeśli siedzi sam – zauważył łącznościowiec. – Jeśli znalazł dwudziestu Ruskich, będzie im duszno po godzinie...

– Skanuj, nie gadaj – urwał kapitan. – W tej samej chwili alarm kontaktowy piknął triumfalnie. – Widzisz? Wracają. Natrę mu uszu za tę ciszę radiową, ale pewnie tak kazali

nasi przyjaciele z Langley. Wołaj chłopców, niech przygotują dźwig. I wywołuj ich przez radio. Nie wiemy, ile miejsca trzeba w ambulatorium.

Mimo fatalnej pogody na pokładzie USS „Ortolan” było tłoczno. Rozkazy Dowództwa Floty precyzyjnie wskazywały zadania okrętu ratowniczego. Mieli udać się w miejsce przypuszczalnego zatonięcia wrogiej jednostki, wysłać na poszukiwanie batyskaf klasy Mystic, po czym przyjąć na pokład zbędną załogę z USS „Colorado”. Wielki raketowiec trzymał się na wodzie tylko dzięki geniuszowi mechaników. Admirał Geperd rozkazał ewakuować zbędnych ludzi i czekać do przybycia specjalistycznych jednostek naprawczych. Przez ten czas zarówno „Colorado”, jak i „Ortolan” miały siedzieć cicho, póki Rosjanie nie zgłoszą zaginięcia łodzi podwodnej. Potem, gdy sprawa nabierze już międzynarodowego charakteru, oba okręty miały oficjalnie i z wielką pompą pokazać idealną akcję ratunkową Floty Amerykańskiej. Chować się tak długo, jak to możliwe – CIA sugerowało, że Moskwa nie wystosuje oficjalnych komunikatów przez cztery bądź pięć dni. A pięć dni to sporo, przynajmniej dla Herzoga i techników, którzy mogli wyciągnąć z wraku najróżniejsze cuda.

Ubocznym skutkiem tego planu byli marynarze z „Colorado”, snujący się na pokładzie „Ortolana”. Sam okręt podwodny trzymał się z dala, na pełnym wyciszeniu, choć – z konieczności – wynurzony. Ratownik przewoził zwykle stu czterdziestu załogantów; dołączyło do nich dziewięćdziesięciu podwodniaków. Było im ciasno; choć ten stan dużo lepiej znosili przyzwyczajeni do oszczędności miejsca głębinowcy niż marynarze nawodni.

Teraz załoganci z „Colorado” niechętnie robili miejsce technikom ratunkowym. Rząddek ciekawskich marynarzy ustawił się na moście za starówką jednostki. Między dwoma kadłubami katamaranu trwał solidny dźwig; opuszczał właśnie obręcze chwytne dla Mystica. Był to widok niecodzienny, nie tylko dla ludzi z „Colorado”, ale i „Ortolana” – ostatnią prawdziwą akcją poszukiwawczą przeprowadzili pół roku wcześniej.

Ale nie wszyscy obecni na statku interesowali się jedynie powrotem batyskafu. Porucznik John Kenzi siedział w kantine ratownika i pocił się pod ciężkim spojrzeniem agenta Rikera. Gdyby przesłuchiwał go tylko komandor Warner, swój człowiek z Floty, nie okazałby nawet połowy tego niepokoju. Ale choć formalnie rozmowę prowadził oficer marynarki, to Riker pociągał za wszystkie sznurki. Przywieźli go tym samym helikopterem, co Warnera. Wymusił na kapitanie Millerze zmianę planów i dołączenie dwóch ludzi Agencji

do załogi ratunkowej. Teraz słuchał i notował przebieg sprawy, która powinna być wewnętrznym śledztwem Floty.

— Dziewięciu — przypomniał Riker, jakby czując, co sprawia ból porucznikowi. — Stracił pan ośmiu ludzi w sekcji dziobowej i jednego od eksplozji. Może i nie było innego rozwiązania, jak uruchomienie wszystkich balastów, ale...

— Zbiorników sprężonego powietrza — odruchowo poprawił go Kenzi. — Nie „uruchamia się balastów”, co najwyżej „zatapia zbiorniki balastowe”, jeśli chce się zanurzyć.

— Panie poruczniku... — westchnął agent. — Zdaję sobie sprawę, że nie jestem marynarzem. Ale ten incydent wykracza poza pańskie kompetencje oceny. Zginęli ludzie, a od pana zachowania zależało, czy ta ofiara pójdzie na marne, czy przechwycimy jakąś technologię Sowietów.

— O tym zaraz się przekonamy — wtrącił Warner. — Właśnie łowią nasz pojazd głębinowy.

— Dobrze, ale póki co wróćmy do momentu, gdy porucznik przejął dowodzenie. Czy był pan pewien, że kapitan Fitzroy jest niezdolny do pełnienia swojej funkcji?

— Co proszę? — jęknął Kenzi. — Skipper stracił przytomność. Czy Trevot...

— Porucznik Trevot zostanie przesłuchany w swoim czasie. Jak pan doskonale wie, obecnie dowodzi unieruchomionym „Colorado”.

— To nie jest przesłuchanie — przypomniał komandor Warner. — Pańska obecność tutaj to akt dobrej woli naszego dowództwa wobec Agencji. Sądzę, że od tej pory ja przejmę zadawanie pytań i...

Wtedy usłyszeli pierwszy strzał. Agent Riker zareagował natychmiast — przewrócił krzesło, lewą ręką amortyzując upadek, prawą sięgając po pistolet. Warner zerwał się z krzesła, podbiegł do okna, ale i jego odruchami kierowało szkolenie. Schował się za framugą i ostrożnie wyjrzał w dół, ku pokładowi rozładunkowemu. A Kenzi, niewyspany, obolały, do granic możliwości sponiewierany przez ostatnie dwie doby, po prostu siedział, czekając na rozwój wypadków.

— Co, u licha... — warknął komandor, kiedy usłyszeli drugi strzał.

Szyba pękła, Warner padł na podłogę z zakrwawionym czołem. Kenzi powinien był wpaść w panikę. Taki strzał, oddany z co najmniej dwudziestu metrów, pod niewiarygod-

nym kątem, sugerował snajpera. Riker o tym wiedział. Doskoczył do drzwi, lewą ręką zdjął ze stojaka kapok; otworzył wyjście, po czym wystawił pomarańczowy wabik na zewnątrz. Odezwały się kolejne strzały, krzyki i jęk gniecionej metalu. Ale z dołu. Zdezorientowany Riker spojrzał na porucznika.

– Człowieku, ogarnij się! – zawołał.

Ukląkł pod oknem, uważając, by nie wystawić głowy zbyt wysoko, wyciągnął z kabury ozdobny rewolwer Warnera („A po co Stary nosił przy sobie klamkę?”, pomyślał Kenzi) i rzucił ją wciąż nieruchomemu oficerowi. John z trudem zmusił rękę do działania – chwycił broń, odbezpieczył ją, po czym zauważył, że Riker już wybiegł z mesy i ruszył schodami na pokład. „Muszę im pomóc”, myślał porucznik. „Tak trzeba. Ale po co?”

Dźwięki z pokładu nie opowiadały żadnej sensownej historii. Na dole trwała kano-nada, strzelały co najmniej trzy pistolety i jedna strzelba, a tajemniczy napastnicy wciąż nacierali. „Sowieckie komando uprowadziło pojazd głębinowy?”, pytał w myśli John. „To jakiś absurd!” Poczucie nierzeczywistości zwyciężyło strach i lenistwo. Kenzi wstał, powoli podszedł do okna i spojrzał w dół. Już wyglądając, wspomniawszy los komandora Warnera i chciał uskoczyć w bok, ale nie mógł. Zobaczył go.

Wiatr niósł kropelki wody i zimne języki polarnego powietrza. W nasyconej wilgocią mgłę porucznik nie widział wyraźnych kształtów, ale tak było lepiej. Zrozumiał tylko, że lewym pokładem pięciu rosłych jak byki marynarzy ucieka przed pojedynczym... Cholera... czy to był człowiek? Postać w wymiętym mundurze, pokrytym ciemnymi plamami („Smar czy krew?”) kroczyła za uciekinierami. Co chwila z mostku widokowego w dół leciały kule, wystrzelone przez marynarzy oraz Rikera. Ale pociski cudownie omijały napastnika.

*On nie umrze, jest pod moją opieką. To zwycięski kandydat w naszym małym teście. Nie bój się, Johnie. To tylko biedny oficer z K-411. Wiele wycierpiał, poniekąd więcej niż jego ofiary.*

Kenzi odruchowo uderzył czołem o ścianę. Głos w jego głowie nie zamilkł, ale stał się cichszy, jakby bardziej oddalony. Porucznik wybiegł na schody, zobaczył, jak upiór w zakrwawionym mundurze sowieckiej marynarki wyrywa matowi Chellowi pistolet. Razem z dłonią. Napastnik podszedł do ściany nadbudówki i jednym skokiem dotarł na znajdujący się cztery metry wyżej most.



„On nas wszystkich zabije!”, zrozumiał Kenzi.

*Tak albo nie, wybór należy do ciebie.*

John odwrócił się i wbiegł do mesy. Natychmiast zatrzasnął za sobą ciężkie drzwi, zakręcił korbą i odskoczył od progu. Kiedy zatrzaskiwał tylne wejście do pomieszczenia, usłyszał przerażone głosy oraz stukanie od strony schodów. Chcieli wejść, ukryć się razem z nim. Niestety, bracia, on swój zapas heroizmu wyczerpał pod wodą.

Ktoś dobijał się też od strony korytarza rufowego. Kenzi ścisnął mocniej pistolet i podszedł do rogu. Widział oba wejścia, odruchowo policzył naboje. Colt Detective Special. Bębenek tylko na sześć komór. Czy wszystkie były załadowane?

— Boże, otwórz... on tu idzie! — krzyczał ktoś z zewnątrz.

Jeden z desperatów wspiął się na górny pokład, spuścił nogi za krawędź i zaczął kopać w szybę mesy. Ale Kenzi wiedział już, co robić, aby ocalić życie. *Tak, w czym jesteś gorszy od porucznika Leszko? Ratuj życie, przyjacielu. Oni nie są warci twojej ofiary.*

Podszedł do okna, a gdy znów pokazała się noga nieszczęśnika, złapał ją w łydce i pociągnął z całej siły. Marynarz USS „Colorado”, Jack Simmons, bo to on miał pecha zakłócić plan zwierzchnika, z krzykiem odpadł od krawędzi i pomknął na spotkanie pokładu rozładunkowego. Upadł źle, łamiąc prawą rękę i kark. Tak miało być, umowa została zawarta.

Pukanie od strony schodów nie ustało, a jeszcze dwóch desperatów próbowało wejść oknem. John zrzucał ich metodycznie, spokojny i pewny siebie, a gdy tłum przerażonych marynarzy wreszcie sforsował wejście i rzucił się na oficera w nadziei odebrania mu zbawiennej broni, on użył colta, tak jak powinien. Zastrzelił trzech, a potem nadszedł już Leszko. Gdy zakrwawiony Rosjanin rozerwał gołymi rękoma pierwszego marynarza, pozostali byli już zbyt przerażeni, by uciekać. Skończyli szybko i względnie bezboleśnie.

— Mostek oraz pokład wyczyszczone — powiedział Leszko łamana angielszczyzną. — Ja wykończę resztę, a ty wezwij tu Trevota. Potem zabierz kapitanowi kody startowe.

\*\*\*

Nie musiał. Ich Gość wniknął w ciało Fitzroya. Stary dowódca oddał karty, z trudem napisał w notesie kod potwierdzający, a potem strzelił sobie w głowę podanym przez Kenziego rewolwerem. Następnie poszli na mostek, wezwać USS „Colorado”.

John powiedział, co ustami Leszka rozkazał mu Gość. Trevot miał natychmiast przy pływać. Na pokładzie „Ortolana” nastąpiła strzelanina, gdyż uratowani Rosjanie chcieli przejść okręt. Sytuacja była już opanowana, ale Mitchell, oficer medyczny podwodniaków, musi pomóc. Nie, nie wolno wzywać bazy, tak rozkazał agent specjalny David Riker, a komandor Bill Warner potwierdził. Tak, Peter, na moją odpowiedzialność. Płyńcie szybciej!

Potem dobili żyjących jeszcze marynarzy. Nie wrzucali ciał do wody — przed posiłkami z „Colorado” nie sposób było ukryć plam krwi na pokładzie. Mimo wiatru i wilgoci, czerwień nadal była widoczna. Ale to nie miało znaczenia. Musieli zabić już tylko szkieletową załogę Trevota.

Trwało to może pięć minut. Peter i dwóch matów wbiegli po trapie wprost na spotkanie z Johnem. Szybkie ciosy łomem posłały ich do morza. Potem wybrańcy wdarli się na pokład „Colorado” — także te łowy były banalnie proste. Kule się ich nie imały, więc uśmiercili wszystkich, prócz pięciu majtków, potrzebnych jako załoga szkieletowa „Ortolana”. Odpalenie rakiet okazało się jednak wyzwaniem.

Kenzi już niemal nie pamiętał życia sprzed katastrofy. Z trudem przypominał sobie procedury. Nikt nie mógł mu pomóc, bo kapitan nie żył, a pozostali przy życiu załoganci byli tylko bezmyślnymi marionetkami Gościa. *„Wybrał tylko nas dwóch, najlepszych kandydatów”*. Wreszcie odbezpieczyli luki, przepisowo zalali komory i wprowadzili dane. Komputer obsługiwał Leszko, a właściwie Gość palcami Rosjanina. Dla mieszkańca głębin nie było sekretów, także w amerykańskiej flocie.

Dwadzieścia cztery pociski klasy „Trident”. Dwadzieścia dwa odpalone na miasta amerykańskie, pozostała para, na wszelki wypadek, wystrzelona na Leningrad i Moskwę. Ot tak, aby się upewnić, że Układ Warszawski zaatakuje pozostałe obiekty NATO.

Leszko wynurzył okręt. Potem obaj wyszli na pokład „Colorado”, podziwiać smugi dymu na niebie. Od razu się rozpogodziło, wiatr ucichł, a wieczorne słońce pokazywało, jak piękny jest Atlantyk wczesną jesienią. Świadomość winy docierała do Johna powoli.

— A ty? — zapytał Rosjanina.

— Musiałem — odpowiedział drżącym głosem. — Moi by mnie zabili. Ja nie chciałem...

Wtedy z pokładu „Ortolana” ktoś do nich zeskoczył. Droga w dół mierzyła prawie trzy metry, ale dla Gościa niewiele to znaczyło. Zajął znów ciało kapitana Fitzroya. Dowódca nosił na czole niewielką ranę wlotową, potylicą wyglądała jak mały krater, ale usta trupa były nienaruszone. Gość mógł mówić.

— Piękny widok, chłopcy — powiedział, nie precyzując, czy ma na myśli zachodzące nad Atlantykiem słońce, czy smugi po pociskach klasy Trident.

— I co z nami będzie? — zapytał Leszko.

— No przecież was nie zabiję — odparły martwe usta Fitzroya. — Drogo zapłaciliście za wasze życie, a ja to uszanuję.

— Kim jesteś? — zapytał John.

— Starożytni mówili o mnie Tamiel, Demon Głębi — wyjaśnił potępieniec. — Miałem też wiele innych imion, ale to mi się podoba najbardziej. Okultyści jednak to głupia banda i niczego nie rozumieją. Ja nie mieszkam w głębi morza, w każdym razie nie muszę tam działać. *Bo jam jest Apostołem Rozpaczy. Zwracacie się do mnie, gdy nie macie dokąd pójść. A ja was przygarniam, bo w mojej winnicy dla każdego znajdzie się praca. Porzućcie wszelką nadzieję i zasięgnijcie siły, którą wam daję. Bo nie pozwolę wam zginąć, nim nie wypełnicie obietnic, nim nie rozpalicie wiecznego ognia...* Głębia zazwyczaj tkwi w duszach. Obaj przywołaliście mnie, kiedy nie mieliście się już do kogo zwrócić, a w zwątpieniu i beznadziei zabiliście towarzyszy, aby przedłużyć swoje nędzne żywota. To z cyrografami na koziej skórze to bujda. Liczy się intencja i materialny grzech. Cokolwiek teraz zrobicie, gramy w jednej drużynie.

— Moi ludzie... — zaczął Leszko.

— Gdybyś ich nie zabił, nie przyszedłbym do ciebie ani nie ściągnął tak szybko Amerykanów. Nie podpisuję paktów z byle kmiotami. Trzeba się wykazać, jak ty... albo John. — Demon położył dłoń kapitana na ramieniu Kenziego.

— Nie! Tych ośmiu musiało zginąć! Inaczej byśmy się nie wynurzyli.

— Dziewięciu — poprawił demon. — Poza tym nie o nich mówię. Poświęciłeś Fitzroya, obciążając go zeznaniami. To morderstwo, bo spowodowałbyś śmierć cywilną. I Stary popełniłby samobójstwo, gdyby wrócił cało na ląd. A ci na statku... Zabiłbyś ich wszystkich, aby nie weszli do twojej twierdzy!

– Zabiliśmy ich... A teraz wywołaliśmy wojnę. Zgubiliśmy ludzkość...

– Bzdura! – przerwał mu Tamiel. – Ludzie są trudniejsi do wytępienia niż robaki. Zresztą na wariancie omega mało komu zależy, zwłaszcza w moich sferach. Ot, zwykła wojna atomowa. Od bomb zginie najwyżej miliard, od skażenia do końca wieku następne trzy. W Afryce i na wyżynach Ameryki Południowej da się wyżyć. Dlatego już myślę, co będzie potem. Zbieram ekipę...

– My? – zapytał Leszko.

– Jasne. Żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników muszę podbierać Konkurencji.

– Po co potrzebujesz...

– Waszej pomocy? Czy to nie oczywiste? Nadchodzi piękny czas dla kusicieli. Wojna, cierpienie, żal po stracie bliskich. I skażenie. Cudo! Tysiące egoistycznych dupków... bez urazy, panowie... zamknijcie się bezpiecznie w schronach, skazując sąsiadów, przyjaciół, może członków rodziny na potworną śmierć. To już zaproszenie do paktu, ale łowienie grzeszników tak zepsutych, jak wy, zajmie mi zbyt wiele czasu. Więc oficjalnie mianuję was Apostołami Demona Głębi, Kusiciela w Rozpaczy i Fałszywego Zbawcy. Wybaczcie, nie mam jeszcze dla was wizytówek.

– Czyli płyniemy do Ameryki? – zapytał Leszko, patrząc na zachód i mrużąc oczy w promieniach gasnącego słońca.

– Tak, ale nie od razu – odparł demon. – Moja moc was chroni, ale jak wejdzicie bezpośrednio w strefę skażenia, to niewiele pomogę. Przycupniemy, pokusimy załogi statków na oceanie. Potem się zobaczy. Ale teraz... – Martwe oczy kapitana spojrzały na Johna. – Mamy robotę. Musimy wyszykować Mystica i wrócić po naszego człowieka.

– Naszego...

– Werbunek zaczynamy już dziś. Leszko zostawił na pokładzie K-411 pięciu kandydatów. Czuję, że w naszym małym konkursie wyłonił się już zwycięzca.

*Październik 2013*